

Wyszli wszyscy i Paweł zaproponował wstąpienie do najbliższej kawiarni. Olga spojrzała na zegarek i odmówiła:

— Jeszcze zdążę na wykład... a przed waszym wyjazdem zobaczę was, kolego, nieprawdaż?

— Na pewno... dam wam zresztą znać, gdy Walczak powróci.

— Dobrze — i pożegnawszy się, szła w kierunku uniwersytetu, rozmyślając nietylko nad pojęciem swoim postanowieniem, ale niepokojąc się podróżą Heleny i Walczaka.

Na skrócie jednej przecznicy, spotkała się oko w oko ze Schweigerem, Waldmanem i Matyldą Eisenfach. Ominąć, nie widzieć, było niepodobieństwem, skinęła głową, mówiąc:

— Dzień dobry koleżance i kolegom.

— No tak, my koledzy, ale tylko uniwersytecy — zaśmiał się Waldman — a takie, czy żadne koleżeństwo, wszystko jedno.

Olga poczerwieniała i rzekła oschle:

— Nie narzucam się wcale z koleżeństwem.

— Jakże się wam, koleżanko Wojtyrska — zaczęła Eisenfach złośliwym tonem — podobała nowa suknia, czy wam w niej do twarzy? czy dobra do figury?

— Jaka suknia? — zdziwiła się Olga.

— No, ta skrojona przez krawców partaczy — zaśmiała się drwiąco — a może i tej nie nosicie już, co wyszła z rąk szowinistycznych P. P. S.? Wy lubicie zmieniać suknie.

Olga stanęła dumnie i przystanęła, chcąc się uwolnić od towarzystwa; ale Waldman i Eisenfach nie myśleli porzucić tak lekko przyjemności dokuczania i wyśmiewania stronnicy P. P. S. Zaciekłość, właściwa rasie semickiej, wzięła w nich górę, a Waldman z głośnym śmiechem:

— Koleżanka Wojtyrska tak się zaplatała w szowinizm, że wkrótce upadnie jeszcze niżej — podkreślił słowo „upadnie“ i nogą wskazał rynsztok uliczny.

— Ona się tego nie boi, ją podniesie najpierw Żalecki, a potem inny — i w drwiącym uśmiechu pokazała swe żółte zęby.

Olga z czerwonej zrobiła się błądą, pod pierwszym wrażeniem chciała tych dwoje odepchnąć i uciec, ale obawa skandalu była większa, a zresztą, kto wie, do czego oni się posuną. Stała przez chwilę oniemiała z oburzenia, wtem Schweiger silnym ruchem ręki odsunął od Olgi Waldmana i Eisenfach i zawołał:

— Wy oboje jesteście niesprawiedliwi, wy macie w sobie tylko złość i zemstę, czego rzucacie się na nią, jak psy zajadłe?

— Jakto czego? — syknęła Eisenfach z błyszczącymi oczyma — ona nas zdradziła, ona się sprzeniewierzyła, czy to mało?

— Sza, cicho! — uspokajał Schweiger. — Człowiek powinien być zawsze w zgodzie ze swoim przekonaniem, bo inaczej w sercu i w ustach ma kłamstwo. Koleżanka Wojtyrska straciła przekonanie do S. D., a przyjęła P. P. S., to sprawa jej sumienia i przekonania.

— Dziękuję wam, kolego, za obronę przed napacją uliczną. Bywajcie zdrowi, szanuję was.

— Powiedźcie mi: do widzenia... przyszłości nikt nie zna.

— Więc do widzenia — podała mu rękę i odwróciwszy się, poszła w kierunku swego mieszkania.

Czuła się zbyt dotknięta, rozdrażniona, aby mogła pójść na wykład, ale i o swym pokoju myślała z niechęcią, czekało ją bowiem napisanie listu do ojca z wyjaśnieniem, dlaczego chce się przenieść do Warszawy i z prośbą o pozwolenie. Przejęła się, uspokoję nieco, ułożę sobie list i dopiero pójdę do domu. Weszła do miejskiego ogrodu i w alei, na skrócie, dojrzała siedzących bardzo blisko siebie Fanny i Edmunda, a tak byli zajęci sobą, że nie uważali nawet na przechodniów.

Olga odwróciła się z niesmakiem i obawiając się dalszych spotkań, szła ku domowi. Obraz przytulonych do siebie Fanny i Edmunda, nie chciał jej opuścić, wlekał się w jej myśli wbrew woli, wbrew odsuwaniu go z wyobraźni. Znudzona tą opornością, pozwoliła fantazji snuć się dalej w tym kierunku.

Wyobrażała sobie, jak pospolita, banalna była ich rozmowa, a cała przyjemność polegała na tem, że są blisko, obok siebie. A jednak im musi być dobrze ze sobą, skoro nie uważają, że dzień zimny, że przesiadywanie na ławce w tej porze jest dziwne, i że przechodnie patrzą na nich, obserwują, podchwytyjają ich ruchy, ich spojrzenia.

Gdyby to było dla nich tylko miłością, tylko chwilową gorączką ciała, byłoby profanacją uczucia. Ostatecznie takie uzewnętrznianie swych za-

pałów miłosnych jest dowodem, że tego rodzaju uczucia, jak szumowiny, płyną po wierzchu. Tak, to jest bezwstydne i brzydkie, zakończyła swe rozumowanie i obraz Fanny z Edmundem zatarł się zupełnie.

Odetchnęła swobodniej i zaczęła planować list. Lepiej jednak wpięrować do ciotki, która ją aż nazbyt czule witała w Petersburgu i zwykle usilnie zapraszała, a równocześnie napisać do ojca, tłumacząc powód wyjazdu bezcelowością nauki i pobytu tutaj.

Przyszedłszy do swego pokoju, już się nie wahała, lecz tego samego dnia wysłała obydwie listy.

Na drugi dzień, późnym wieczorem, wpadła do niej Helena.

— Wróciłaś? Ach, jak to szczęśliwie! — witała ją serdecznie.

— Jak widzisz, jestem i nic mi się nie stało, a swoją drogą najadłam się strachu — rozbierała się szybko z paltocika — a jeszcze lepiej ubawiłam się, zatańczyłam... dużo mam ci do opowiadania, wieczoru nie starczy.



— Wróciłaś? Ach, jak to szczęśliwie! — witała ją serdecznie.

— Mówże porządnie, systematycznie — uśmiechnęła się — siadaj! Oddałaś w porządku odezwę?

— Nie powiodło mi się z Zawierciem, ale w Łodzi... przyjmowano nas, jak zbawców, jak apostołów!...

— Jakto, was?

— Prawda, ty nie wiesz. W Koluszkach czekał na mnie Walczak i oboje pojechaliśmy do Łodzi. Ten pan Ryszard jest wcale przystojny i przyjemny człowiek, blondyn, a taki zapalony do sprawy, że tracił głowę, aby godnie nas przyjąć, ucześć... a jakie były toasty... No, zaczynam od początku, a ty słuchaj i nie przerywaj.

— Dobrze, słucham... a więc?

Helena opowiadała szczegółowo, przemilczawszy o swych uczuciach na wieść o uwięzieniu Walczaka. Nie trzymała się wprawdzie porządku chronologicznego, co było po części winą dopytywania się Olgi o drobne szczegóły, ale ostatecznie opowiedziała i kończyła:

— Jestem stanowczo zdecydowana wyjechać do Królestwa.

— Jakto i ty? — zdziwiła się Olga.

— Skądże to pytanie? — stłumiła zdziwienie —

sama postanowiłam i sama jadę, a że może Walczak tam będzie... to jego sprawa, nie moja.

— Nie wiedziałam nic o Walczaku — uśmiechnęła się Olga — miałam na myśli Żaleckiego, który wyjeżdża.

— Więc i on jedzie?! no, a ty? Kiedy już razem, to razem.

— Jestem zależna od ojca, ale prawdopodobnie prędzej czy później będę w Warszawie... Ale, że tobie wolno tak zmieniać miejsce pobytu?

— Mnie?... Mój ojciec jest skromnie uposażonym urzędnikiem na prowincji, a pomaga mi babka, która na wszystko się zgadza, czego ja chcę. Po wiem, że pobyt mój w Królestwie potrzebny, ona się zgodzi, no i rodziców ugłaskam.

— A gdyby ci nie pozwolono?

— Myślałam już o tem, i wiesz, mam niejasne przeczucia, że się sprzeciwią, w takim razie pojedę na chybił — trafił. To najgorzej, że słuchałam chemii tylko jeden rok, gdyby dłużej, mogłabym się uczyć jakiej fabryki, a tak liczę na lekcje, od czegoż zresztą odwaga i młodość — zaśmiała się wesoło.

— W razie potrzeby, Heleno, zawsze licz na mnie... zresztą może będę mogła ułatwić ci niejedno w Warszawie.

— Mam nadzieję, że twojej pomocy nie będę potrzebowała, ale nie wyrzekam się — uściśnęły sobie ręce — czy byłaś na wykładach?

— Byłam na dwóch... a wiesz, Waldman i Eisenfach zrobili mi scenę o moje przystąpienie do P. P. S.

— Oni? A cóż im do tego?

— Oburzali się, że porzuciłam S. D.

— Prawda, oni są tak głupio zaciętrzewieni w swojej socjaldemokracji, jak ją ohydnie po polsku nazywają, że światu i ludzi nie widzą po za nią. Wpatrzeni są tylko w siebie, w swe posłannictwo, w swe poświęcenie urojone, i sądzą, że wszyscy powinni padać płakiem przed nimi. Na twoim miejscu odwróciłabym się i w milczeniu odeszła.

— Tak też zrobiłam, a Schweiger pomógł mi w tem; to uczciwy człowiek.

— I ja to uznaję, ale też on, bodaj jedyny wśród nich, rozumie, co jest socjalna demokracja; inni uważają ją tylko za dogodną sposobność wywyższenia się nad poziom i plwania na P. P. S.

Olga z pewnem zdziwieniem przysłuchiwała się jej sądom, nie przypuszczała, że tak dobrze obserwuje i powiedziała z uśmiechem:

— Podróż jednak wpłynęła na ciebie, oceniłaś ich trafnie.

— Dawniej już, czytając pisma S. D., czułam niesmak do wrzaskliwej ich polemiki, a gdyśmy z Walczakiem zaczęli przypominać sobie ich niepomierne samochwalstwa i maniactwo szarpania P. P. S., uczułam poprostu wstręt, a ty?

— Nie mam wstrętu, ale mam litość nad ich zaślepieniem i przypuszczam, że z czasem spostrzeżę swą wyłączność przesadną.

— Jesteś optymistką... ale mniejsza z tem, już późno... idę!

Zapukano i wszedł Edmund.

— Dowiedziałem się, że jesteście, koleżanko, u Olgi, chciałem wam powiedzieć, że od dwóch dni macie list na uniwersytecie.

— List?... Dziękuję koledze, pójdę jutro.

— Może pozwolicie, że was odprowadzę? — spytał po chwili.

(Ciąg dalszy nastąpi).